

AUTORZY I BOHATEROWIE

W biografistyce — jak w każdym zresztą gatunku, który nie ma realizować wprost programów pedagogicznych — największą zaletą jest różnorodność: różnorodność zamysłów autorskich, poglądów historiozoficznych i form pisarskich.

Na mojej półce z biografiami widzę *Zygmunta Augusta* E. Gołębiowskiego — sprawnie skomponowany romans alkwiano-polityczny, ze śladami inspiracji Lyttona Stracheya czy André Maurois; *Historię jedyne go romansu* J. Szackiego — ukryty pod pozorami popularyzacji subtelny esej o „za mało zbuntowanym” romantyku i jego optymistycznej klęsce; R. Kołodziejczyka rzetelną monografię gospodarczą przedsiębiorstwa epoki pierwotnej akumulacji, zamkniętą wcale udatną próbą rekonstrukcji osobowości człowieka, który kreował nowy model polskiego hominis economici; S. Kieniewicza nieco dydaktyczną, piękną polszczyzną napisaną opowieść o starzejącym się Lelewelu; M. Wallisa *Kraj lat dzieciennych Stanisława Noakowskiego*, książkę, której celem jest wytropienie wszystkich inspiracji formujących osobowość i wrażliwość bohatera, w której zatem jego postać obrasta samodzielnymi monografiami miast, ulic, katedr i ludzi.

Wszystkie te książki i książeczki stoją obok siebie wraz z wieloma innymi i nie wadzą sobie wzajemnie. Przeciwnie: świadczą, że ten gatunek, który — rachując tylko od Plutarcha — liczy sobie już blisko 19 wieków, jest nadal żywy, obiecujący, mieniący się ową tak cenną różnorodnością pomysłów i osiągnięć.

Jeśli więc mamy dyskutować nad jego losami u nas w ostatnich i w najbliższych latach, to nie po to zapewne, by pisać rady i uchwałać poetyki, których autorzy nie potrzebują; ale może po to, by zdać sobie sprawę, która metoda do jakich celów najlepiej służy i jakich rezultatów po jakim zamiśle autorskim wolno, a jakich nie trzeba się spodziewać.

O tym właśnie parę luźnych, impresyjnych spostrzeżeń chciałbym przedstawić; dla ekonomii czasu i zogniskowania dyskusji ograniczę się do takich pozycji, w których celem nadrzędnym było przedstawienie wyników własnych badań i poszukiwań, które zatem spełniają akademickie rygory monografii naukowej. Spośród nich zaś wybrałem trzy książki. Wybór to dowolny, arbitralny; jego uzasadnieniem są po części osobiste zainteresowania, a także przeświadczenie, że każda z nich jest jakoś typowa dla pewnego sposobu pojmowania i praktykowania zadań uczonego-biografa. Zarazem prace te są dobrane tak, że bohater pierwszej żyje w wieku XVII, drugiej — w XVIII i trzeciej — w XIX. Chodzi o *Stefana Czarnieckiego* A. Kerstena (Wyd. MON), *Jacka Jezierskiego* K. Zienkowskiej (PWN) i *Ludwika Mierosławskiego* M. Żychowskiego (PWN).

Książki te oczywiście nie pod każdym względem są ze sobą współmierne. *Czarniecki*, (który otrzymał znakomitą szatę graficzną i edytorską) liczy 60 arkuszy. *Mierosławski* (niezbyt starannie wydany) — 34,5, *Jezierski* zaledwie 16. Warto przy okazji odnotować jak — według słusznego zapewne rozoznania wydawców —

kształtuje się rynek na takie wydawnictwa: oto wprost proporcjonalnie do ich objętości, ceny i standardu wydawniczego. A więc pracy Zienkowskiej wydrukowano 1000 egz., Żychowskiego — 2000, a Kerstena — 3000. Jest to zapewne odzwierciedlenie trafnej oceny stopnia popularności ich bohaterów w narodzie, ale także, jak sądzę, faktu, iż nabywcy szukają książki drogiej, efektownej, nadającej się na prezent lub reprezentacyjną półkę w bibliotece. Niewspółmierność polega jeszcze i na tym, że dwie z wymienionych książek są dziełami autorów już uformowanych, o niemałym dorobku, erudycji i sprawności warsztatowej, a także bywałych w świecie. Trzecia jest skromnym debiutem, pracą napisaną jeszcze na stopień, a opartą wyłącznie na źródłach krajowych.

Chciałbym natomiast wymienić dwie wspólne cechy tych trzech publikacji.

Pierwsza cecha — to prawie jednakowe brzemienie pierwszych odsyłaczy każdej z tych prac. U Kerstena w tych pierwszych przypisach mamy odwołanie się do Okolskiego, Duńczewskiego, Wielądki, Niesieckiego, Bonieckiego; u Zienkowskiej — do herbarza Bonieckiego i encyklopedii Orgelbranda; u Żychowskiego — do herbarza Uruskiego, Niesieckiego i Bonieckiego.

Wyraża się w tym wspólnota najpierw autorów: wszyscy ulegają konwencji, która każe im zawsze zaczynać od szukania tzw. gniazda rodzinnego bohatera. Rzecz ciekawa, że nie ma już tej wspólnoty w zakończeniach; Kersten i Żychowski kończą rzecz prosto i zwyczajnie — pogrzebem, natomiast Zienkowska, rozfilozofowawszy się w zakończeniu — w ogóle przez roztargnienie, albo przywiązanie, zapomniała uśmiercić swojego Jacka, tak że jedynie z okładki możemy zasięgnąć informacji o dacie jego śmierci. Rzecz staje się groźna, gdy zważyć, że z kolei przez roztargnienie redaktora i grafika okładka o dacie urodzin informuje nas błędnie, a zatem i druga data nie musi być pewna.

Ale wracając do owej zbieżności początków, wyraża się w nich także jakaś wspólnota bohaterów, mianowicie dość powszechna skłonność polskich postaci historycznych do rodzenia się w szlacheckim dworku. Czarniecki w roku 1599 w Sandomierskiem, Jezierski w 1722 na Podlasiu, Mierosławski w 1814 r. na Kujawach — wszyscy trzej przyszli na świat w tej samej mniej więcej sferze: w drobnej szlachcie ziemiańskiej, w wypadku Czarnieckich nieco bogatszej, w dwu pozostałych już raczej na pograniczu pauperyzacji, ale jeszcze nie gotociej, jeszcze trzymającej w posesji ostatnią wieś, albo dwie.

Z tym wiąże się ściśle druga cecha wspólna naszych biografii: wszystkie trzy są historiami awansu. Środowisko, z jakiego ich bohaterowie wyszli, pozycja społeczna, jaką dziedziczyli, żadnego z nich nie predestynowała do zajęcia wybitniejszego miejsca w historii. Sami ambitnymi celami, jakie sobie wytknęli, i wytrwałością w dążeniu do nich wyróżnili się z napoły anonimowego szlacheckiego tłumu, choć dla każdego z nich inne były cele i inne sposoby.

Może ktoś powiedzieć, że to tylko powierzchowna analogia biogramów z różnych epok, powierzchowna analogia wątku życiowego pewnego szlacheckiego wojskowego, pewnego szlacheckiego przedsiębiorcy i arywisty, pewnego szlacheckiego rewolucjonisty, który na dodatek wyrzekł się własnej klasy. Ale ta powierzchowna analogia postawiła przed wszystkimi trzema autorami pewien problem, którego są mniej lub bardziej świadomi; problem przykładowości owych wzorów awansu.

W jakiej więc mierze opisywane drogi życiowe są przykładami karier dla środowiska, z którego wyszli, typowych? Typowych przynajmniej w sensie kierunku, kształtowania się ambicji — choćby nawet szmat przebytej drogi był czymś zgoła wyjątkowym i jednostkowym. Spośród średniej szlachty siedemnastowiecznej jeden Czarniecki doszedł na miesiąc przed śmiercią do buławy, ale ilu innych o tej buławie marzyło? Szlachetka łukowski został bogaczem, kapitalistą i senatorem: powiodło mu się, ale czy sam jeden takie cele stawiał przed sobą? Mierosławski

sprawował rząd polskich dusz — czy tylko on w dzieciństwie „z zadumą w oku” — jak powiada jego biograf — mówił o tym, że będzie „hetmanił” w przyszłości, czy tylko on bawił się w Napoleona i w Wallenroda? Do jakiego stopnia byli wyraziicielami tęsknot i aspiracji powszechnych w ich stanie; w ich grupach rówieśniczych? Czy tylko pomyślniej, niż inni, ziszczali w swym życiu perspektywy, które i dla innych stały otworem, które i dla innych były ponętne; czy właśnie przeciwnie, stwarzali sobie własny, indywidualny zespół celów, wartości, dążeń, ideałów, który nie wyrastał wprost z kultury środowiska?

Ten problem widziałbym jako wspólny dla wymienionych biografii — i może jako nadrzędny.

*

Świetnie dostrzegł ten problem A. Kersten. Przedstawił go w ekspozycji tak jasno i klarownie, że chciałoby się tu cytować cały wstęp. Jego Czarniecki „to jeden z wielu, bardzo wielu zawodowych żołnierzy feudalnej Rzplitej, któremu udało się przejść drogę od zwykłego «towarzysza chorągwi kozackiej» do buławy hetmańskiej. Ta droga właśnie stanowi podstawowy problem pracy. I dlatego też nie jest to tylko biografia osoby... Moją ambicją — pisze Kersten — było ukazanie działań i myśli, zrozumienie motorów postępowania całej warstwy społecznej... Nie jest to książka o historii wojskowości, ale o społecznym życiu szlachty i awansie żołnierzy szlacheckich w XVII w.” (s. 6). Czy ta zapowiedź została spełniona? Nie jest mi łatwo z poczuciem odpowiedzialności odpowiedzieć na to pytanie.

Mamy przed sobą niewątpliwie dzieło wybitne, pracę, która reprezentuje warsztat heurystyczny i krytyczny na poziomie doskonałym, która jest przy tym bardzo dobrze skomponowana i napisana. Myślę (przyznaję się szczerze, iż z niejaką zazdrością), że nieczęsto osiąga się w wieku Autora tak duże doświadczenie naukowe, dojrzałą świadomość badacza.

Ta świadomość wyraża się m. in. w tym, że Kersten pamięta stale o zasadzkach, które wynikają z obranego przezeń tematu, a które nie mają swych odpowiedników w pozostałych omawianych przez nas pracach. Pisze on bowiem o człowieku, który stał się narodowym herosem, który „znalazł swe miejsce w hymnie państwowym, w nazwach oddziałów wojskowych i szkół” (s. 520). Autor jest świadom ciśnienia tej legendy, jest niemniej świadom niebezpieczeństwa przeciwnego; pokus powierzchownej i łatwej rewizji, namiętności odburzowania, strącania z piedestałów, wykreślenia z tradycji. Cóż prostszego niż napisać, że miecz Czarnieckiego był mieczem broniącym klasowego przywileju feudałów — i uznać sprawę za załatwioną. Autor szczęśliwie nie poszedł tą drogą. Z dawniejszych publicystycznych wypowiedzi A. Kerstena znane nam jest jego obsesjonalne niemal odczuwanie ciśnienia tradycji, naporu nacjonalistycznych stereotypów na świadomość historyczną społeczeństwa i także na naukę. Ale wystrzega się on łatwego rugowania jednych stereotypów przez inne, równie prymitywne. Powraca do tej sprawy we wstępie do *Czarnieckiego* — wstępie, który zasługuje na uwagę przez swój ton szczerzy i bardziej osobisty, niż to jest normalnie w zwyczaju. „Sercem i rozumem opowiadałem się za dumną walką najbardziej poniżonych i upodlonych w feudalnej Rzeczypospolitej. Twarde i nazbyt proste postacie Pawluka, Ostrzańska i Huni, najbardziej ogólne idee «ciemnej czerni» walczącej o własną wolność, są mi przecież stokroć bliższe niż obrońcy feudalnej ekspansji na kresach ówczesnego państwa polskiego. Ale przyjęty temat narzucał nie tylko obowiązek obiektywnego obrazowania działań szlacheckich zawodowych żołnierzy, ale także konieczność zrozumienia ich mentalności, reakcji psychicznych, pobudek działania. Nie traktuję w tej pracy nikogo «wrogo», sądzę, że możemy już spokojnie zоста-

wić przeciwników tych czasów «samych ze sobą», nie przydając im naszych uczuć, starając się tylko zrozumieć ich postawy. Nie jest to łatwe, ale jedynie słuszne. Jeśli historia ma być nauką, strzeżmy się prac o tendencjach Rawity Gawrońskiego, ale nie pochwalajmy też skrajnie mu przeciwnych. Skrajność nie prowadzi do dobrej przyjaźni, ani do właściwego zrozumienia historii. Historiografia, zarówno polska, rosyjska, jak i ukraińska ma tu zbyt wiele grzechów na swym sumieniu, by dodawać do nich nowe. Staralem się więc być w miarę swych możliwości maksymalnie obiektywny” (s. 19).

Ta deklaracja nie jest gołosłowna, to wymaganie od siebie „maksymalnej obiektywności” zostało rzeczywiście spełnione dzięki ustawicznej autokontroli pisarza. Rzec charakterystyczna: mówiłem, że rzadko się zdarza równie osobisty wstęp, dodam, że rzadko się zdarza równie bezosobisty wykład. Kersten wypowiedział się we wstępie i na dwóch stroniczkach zakończenia, po to zapewne, by w toku prezentacji materiału pozostać już tylko beznamiętnym sprawozdawcą i chłodnym analitykiem. Najciekawszy jest oczywiście wtedy, kiedy jest nie tyle sprawozdawcą, ile analitykiem. Są w tej książce znakomite strony, na których rozważa się politykę i postawę sławnego zagońcyzka wobec ludności cywilnej, a zwłaszcza jego stosunek do chłopów: do ich osób i ich mienia. Myślę tu o komentarzach Autora do krwawych pacyfikacji ukraińskich w latach 1653 i 1654 (s. 183—184, 195—197), do ruchu chłopskiego zimą 1655/56 (s. 276—277), albo do „swawoli żołnierskich” na Rusi, w Wielkopolsce, w Brandenburgii, w Danii (s. 291, 296, 385 i in.). Myślę też o tych partiach tekstu, gdzie Kersten stara się wniknąć w historyczną zmienność i historyczny sens takich pojęć jak patriotyzm, wierność, zdrada lub prywatność (np. s. 237), by ustrzec siebie i czytelników przed niebezpieczeństwem modernizacji postaw i motywów działania.

Ale tu powstaje drugi kłopot: pisze się przecież o człowieku, który nie pozostawił prawie żadnych „dokumentów osobistych”, o człowieku, którego ogląda się wyłącznie w świetle relacji postronnych świadków. Zatem wszystko, co się powie o celach i wartościach, jakim chciał służyć i o motywach, jakimi kierował się podejmując decyzje, będzie tylko hipotezą, mniej lub bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem. Tym bardziej wszakże ciekawe staje się to zadanie; Kersten nie uchyla się przed nim, ale też nie ulega pokusie niekontrolowanych psychologicznych ekstrapolacji. Rozważa wszystkie możliwe wyjaśnienia, zanim uzna jedno z nich za najbardziej prawdopodobne; wzorcowa jest pod tym względem próba przedstawienia konfliktu motywacyjnego Czarnieckiego podczas krakowskich i będziańskich rokowań ze Szwedami jesienią 1655 r. (s. 231—242).

Poniosła jednak Kerstena pasja szperacka, opisowa, perfekcja krytyczną, skierowaną — w sposób jakże typowy dla historiografii „historyzującej” — nie tylko na rozszyfrowanie spraw istotnych, ale także na ustalenie, przez które miasteczko pruskie szło wojsko Czarnieckiego rankiem któregoś tam dnia. Jest to robota jubilerska, na którą patrzy się z podziwem, ale która została doprowadzona — moim zdaniem — do skrajności. Dziesiątki stron w tej pracy to tylko rekonstrukcja itinerarium bohatera. Aż czasem szkoda, że tyle na to idzie pracy i talentu. Książka Kerstena przekształca się chwilami — by użyć tytułu cytowanego przezeń manuskryptu — w *Spizarnię rzeczy potrzebnych, ludzkiej pamięci godnych*.

Czy jednak w tej spizarni można znaleźć odpowiedź na postawione we wstępie pytanie: co w Czarnieckim i w jego dumnym losie było prostym wykwittem kultury jego środowiska, a co było już bądź kultury tej modyfikacją, bądź wyjściem poza krąg jej norm i jej wartości? Powiedziałbym, że częściowo tę odpowiedź znaleźć można, ale że trzeba długo szukać, i że nie wszystkie przy tym potrzebne do odpowiedzi elementy znajduje czytelnik. Wytropimy wprawdzie, zwłaszcza w końcowych rozdziałach, ślad socjologicznej refleksji nad drogą życiową Czarnieckiego — drogą człowieka o niskiej zrazu pozycji, ale umiejscowionego w jej

klasie i swym otoczeniu, drogą wiodącą do zupełnej alienacji społecznej u szczytu gwałtownej kariery, „która przyniosła mu zawiść i niechęć starego żołnierskiego środowiska, w zamian nie dając bynajmniej uznania dworu i warstwy magnackiej” (s. 517). Deklarowany jednak zamiar zbadania „zawikłanych myśli ludzi tego wieku”, społecznego życia szlachty, subkultury wojskowego obozu — ten zamiar rozsypał się w miał drugorzędnych szczegółów. Dlatego i intencja — tak rzadka u biografów — sprowadzenia do właściwego wymiaru historycznej roli i odpowiedzialności bohatera, pozostała nieco gołosłowna: bo to jednak jest przede wszystkim „biografia osoby”.

Może dopiero teraz — już zwolniony od obowiązku drobiazgowego informowania — mógłby Kersten, nie na 60, ale na 10 arkuszach, napisać jeszcze jedną książkę o Czarnieckim, książkę, która mniej imponując erudycją, bardziej spełniałaby intelektualne obietnice autora. Może byłby to esej, książka refleksyjna, trochę socjologiczna o tworzeniu najpierw bohatera, a potem jego kultu. Bo właśnie Kersten nie powinien był kończyć pogrzebem, a całą resztę „odfajkować” dwiema stroniczkami. Zostały przecież bogate, 300-letnie dzieje legendy Czarnieckiego, niemniej ciekawe niż dzieje jego życia. Mity o historii są także przedmiotem historii.

*

Praca M. Żychowskiego najbardziej zbliża się do tego rodzaju pisarskiego, jaki ma w historiografii — także i w polskiej — najbogatszą tradycję. Nazwałbym ten rodzaj „biografią towarzyszącą” — albowiem istotą jego wydaje mi się to właśnie, że autor towarzyszy wiernie swemu bohaterowi od początku do końca jego dni, obserwuje jego zachowanie, stara się przeniknąć w jego świat wewnętrzny, a jednocześnie ocenia i sądzi, chwali i strofuje, interweniuje w tok wydarzeń, udziela rad, zajmuje się uczuciami bohatera, a jednocześnie i własnymi, swoim doń stosunkiem. Żychowski — jak przed nim wielu innych — nie usiłuje ukryć swojej własnej osobowości, informuje nas, kiedy lubi Mierosławskiego, a kiedy go Mierosławski irytuje. Postać wybrał do takiego ujęcia znakomitą i pełnokrwistą, z temperamentem, pełną sprzeczności, wielokroć już gloryfikowaną i poniewieraną w błocie, farsową i tragiczną zarazem. Wedle jednych „wódz zmartwychwstały”, „wódz posiadający wszystkie moralne i umysłowe przymioty do wyzwolenia Polski potrzebne: i kochający ojczyznę jak Kościuszko, i obdarzony wojennym Napoleona geniuszem”, wedle innych „général des causes perdues”, a ponadto intrygant, kabotyn i zadufany w sobie blagier, kompilujący słynne „les idées Mierosławskiennes” — trudno zaiste o wdzięczniejszy model do portretu. Żychowski przedstawił portret przekonujący. Rewelacji rzeczowych jego w wielu krajach prowadzone poszukiwania źródłowe nie przyniosły, ale wypełniły puste miejsca, dorzuciły sporo nowych szczegółów. Jeśli nawet portret nie odbiega wiele od tego, czegośmy w ogólnych zarysach oczekiwali, to na pewno nabrał życia, charakteru. Jeśli chodzi o rysunek psychologiczny, to sądzę, że Żychowski odniósł w zasadzie sukces. Bo też to jest właśnie ten cel, jaki „biografia towarzysząca” pozwala osiągnąć najlepiej.

Gorzej, że po niektórych klasykach gatunku przejął Żychowski m. in. trochę zużytych klisz i rekwizytów stylistycznych o wątpliwej użyteczności. Już w dzieciństwie „występują u Ludwika... cechy sarmacko-szlacheckie po ojcu, jak i francusko-gaskońskie po matce. Amalgamat krwi i narodowości dał w efekcie subtelność, a zarazem zmienność charakteru Ludwika. Fantazję miał iście zaskakującą. Potrafił budować zamki na lodzie, wymyślać wprost niewiarygodne sytuacje, za-barwione lekkością francuską” (s. 38—39). „Niemieckie serca, pałające chęcią walki o wolność przeciw supremacji pruskiej, gorąco witały Polaków” (s. 62). „Widok trójbarwnej chorągwi wstrząsał piersi i wyrwał krzyk zdławiony «witał Fran-

cjo!» (s. 63). Wiersz o Bitwie Grochowskiej technie „żarem poetyckiej duszy” (s. 114). Obok Mickiewicza „blyszczą jak księżycy” Słowacki i Krasiński (s. 111). Siedząc przez dwa i pół miesiąca po powstaniu wielkopolskim u Prusaków w dość luksusowych (nawet jak na owe czasy) warunkach, Mierosławski nie jest zwyczajnie aresztowany, lecz „gnije w lochach więziennych”, a co gorsza, władz pruskich w ogóle nie wzruszają jego dolegliwości wątroby! (s. 345, 351).

Ta maniera, zresztą tylko tu i ówdzie zaznaczona, daje efekt nieco niezamierzony w zderzeniu z innym wzorcem stylistycznym: „Poglądy 18-letniego porucznika będą się modyfikować w kierunku demokratyczno-burżuazyjnym” (s. 92). „Mierosławski akcentuje w swym pisarstwie w sposób konsekwentny historyzmy procesu dziejowego oraz rolę mas ludowych w historii” (s. 132), choć mimo to jego poglądy na partyzantkę ujawniają, że „nie traktuje ludowych mas jako podmiotu dziejów” (s. 188).

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie twierdzę wcale, że książka jest źle napisana. Czyta się ją gładko i z przyjemnością. Chciałem tylko pokazać, jak autor ulega ciśnieniu pewnych sprzecznych ze sobą stylistyk, wśród których nie umiał zdecydować się na wybór bądź — jeszcze lepiej — wykształcić swój oryginalny sposób narracji i ekspresji.

Byłby to tylko powierzchowny, łatwy do usunięcia przed następnym wydaniem, „naskórek” stylistyczny, gdyby nie fakt, że to samo ciśnienie niezgodnych wzorców daje się wykryć w stosowanym przez Żychowskiego systemie wartościowania. Jest to już rzecz poważniejsza, gdyż obrany rodzaj biografistyki zakłada ustawiczną interwencję autorskiego osądu ludzi i zdarzeń. Ideowe preferencje autora, jego osobisty punkt widzenia, mogły być mało istotne przy metodzie wykładu Kerstena, ale u Żychowskiego są sprawą podstawową.

W *Ludwiku Mierosławskim* dostrzegamy najpierw zespół ocen wywodzący się z marksizmu: stosunek do emancypacji mas ludowych, demokratyzm konsekwentny czy obciążony liberalno-solidarystycznymi złudzeniami, premiowanie intelektu i rewolucyjnej dojrzałości polityka. Ale z tym zespołem interferuje inny, o zgoła odmiennej proveniencji, skrajnie romantycznej, związanej m. in. właśnie z samym Mierosławskim. Jest to odwet wzięty przez bohatera na autorze.

Tak np. Żychowski krytykuje Bystrzonowskiego *Myśli o powstaniu roku 1845* nie za ich brak programu społecznego, lecz za to, że „był to plan jednozaborowego powstania, tylko przeciw Rosji, a więc faktycznie sankcjonowanie grabieży ziem polskich przez dwu pozostałych zaborców. Wymowa tej koncepcji jest jednoznaczna, a więc eo ipso nie odpowiadająca dążeniom narodu polskiego do niepodległości i wolności” (s. 209). A trochę dalej nastąpi, konsekwentnie, apologia projektów Mierosławskiego, mianowicie jego „przemyślanego [?] planu trójzaborowego powstania, posiadającego niemałe szanse powodzenia, gdyby [pechowo — J. J.] nie wybuchł antyfeudalny ruch chłopski w Galicji i gdyby nie było masowych aresztowań” (s. 237).

Odżywa więc na tych stronach dobrze znajoma teza, że prawdziwy rewolucjonista i patriota musi się bić przeciw wszystkim ciemnościom naraz i biada mu, jeśli któregokolwiek z nich zostawi sobie na później. Zarazem ruch chłopski (którego Żychowski jest jednym z monografistów) jawi się nam w tym kontekście jako zdarzenie akcydentalne, które zakłóciło świetne szanse powstańczej ruchawki.

Przy takim systemie wartości rzeczywiście w węzłowych momentach trzeba się odwoływać do pecha i do losu. Ów los interweniuje wielokrotnie na kartach książki i mam wrażenie, że to do walki z nim sprowadza się w końcu ten „arcytragizm” Mierosławskiego, o którym Żychowski mówi we wstępie.

Na Sycylii: „Mimo popełnionych błędów Mierosławski udowodnił [czym? J. J.], że jest dobrym żołnierzem i niezłym wodzem. Chlubnie spełnił swój obowiązek.

Los nie uśmiechnął się do niego" (s. 383). W Badenii: „Los nie był dla niego łąskawy na polach bitewnych" (s. 415).

Sądzę, że to nie jest ta aparatura, która skutecznie pomoże nam wyjaśnić wzloty i upadki pana Ludwika, już nie jako fenomen psychologiczny, lecz polityczny i społeczny. Myślę, że lepszy klucz znaleźlibyśmy w księżeczce J. Szackiego o Mochnackim. Powiada tam Szacki, że klęska Mochnackiego zaczęła się w momencie, w którym swoje pryncypia uznał za swoją słabość.

Mierosławski jeszcze szybciej uznał za słabość swoje pryncypia intelektualne i ideowe. Uczynił to w imię realizmu politycznego — i w skutku tego stał się żalonym utopistą. Jego cynizm i pragmatyzm stały się źródłem jego naiwności. Mógł być ideologiem i wodzem walczącej demokracji, stał się ideologiem „polskiej krzepy”. Dla zrozumienia tej sprawy kapitalne wręcz jest jego zwierzenie, iż przyciągnął go do TDP „nie podziw dla sejmikowo-girondyńskiej ustawy”, lecz uznanie, że związek ten, „narodzony bez głowy, umiał sobie takową poprawić karłą gimnastyką i mężnym poczuciem powstańczych konieczności” (s. 161). Niemniej charakterystyczne są wyznania pana Ludwika o „wojennej dyktaturze”, o „sztuce obracania warstwami zmobilizowanymi” (s. 178), a także zanotowany przez Zygmunta Miłkowskiego jurny monolog władzy rewolucyjnej, którego Żychowski nie przytacza, chyba że względu na czytelniczki. (T. T. Jeż, *Od kolebki przez życie*. Wyd. A. Lewak. T. II. Kraków 1936. s. 242).

Szlacheccy rewolucjoniści aż do Mochnackiego nie doceniali problemu władzy w rewolucji, ani sztuki manipulowania ludźmi i masami narodu. Mierosławski je przecenił — co było nie mniej naiwne. Ale kapitalny problem — to nie tyle Mierosławski, ile: naród a Mierosławski, lub — jeśli kto woli — „mierosławszczyzna”. Jest to wielki problem kultury polskiej XIX w. i wielu innych kultur, w wielu innych okresach, ale w nieco podobnych schematach sytuacyjnych.

Awans Czarnieckiego może być od biedy zrozumiany bez analizy kultury środowiska, gdyż legitymuje się on kolejno osiągalnymi szczeblami majątku, władzy, znaczenia. Jest to awans zinstytucjonalizowany. Awans Mierosławskiego jest fenomenem tylko jako funkcja owej kultury, gdyż jest to wyłącznie awans w umysłach i sercach obywateli narodu. Tego narodu, w którym — po każdej kolejnej przegranej — „wszyscy znowu z ufnością patrzyli w najbliższą przyszłość i wierzyli w gwiazdę Mierosławskiego” (s. 544). Ta irracjonalna ufność uwiarytelnia fakt, że Mierosławski z całą swoją retoryką, patosem i antydoktrynerskim doktrynerstwem był tej narodowo-szlacheckiej kultury elementem niezbędnym.

Tej problematyki Żychowski nie dotknął. Moim zdaniem, brak ten jest prostą konsekwencją obranego gatunku i postawy. „Biografia towarzysząca” jest wciąż niezastąpioną techniką portretu psychologicznego i rekonstrukcji indywidualnego losu bohatera. Nie nadaje się do odtworzenia „wymiany informacji” między jednostką a środowiskiem, psychospołecznej więzi wzajemnych wymagań i oczekiwań narodu (lub jego części) oraz idola, który symbolizuje tego narodu wolność, całość i niepodległość.

*

Praca Zienkowskiej ustępuje pierwszym dwóm pod względem systematyczności poszukiwań źródłowych, bogactwa wiadomości i gęstości faktury. Ale Zienkowskiej najbardziej udało się uchwycić tę problematykę, o której cały czas mówimy. Myślę, że walenie ułatwił jej to sam wybór bohatera. Nie musiała się parać z żadną legendą, wybrała człowieka, który nie dorósł do wielkiej roli historycznej. Czarniecki i Mierosławski muszą mieć w Polsce swoich biografów — i to niedjednego. Kasztelan łukowski nie musi: ważniejsi od niego nie mają. Ale też ten właśnie fakt, że wyrastał on ponad swe środowisko tylko trochę większą inteligencją, większym sprytem, przedsiębiorczością, pewnością siebie i trochę mniej

konserwatywnym myśleniem — to stało się autorskim atutem. Jacek Jezierski był na tyle indywidualnością, by można było o nim znaleźć materiał; był nią na tyle mało, by jego biograf nie musiał czuć się zobowiązany do sprawdzania, gdzie i kiedy jadł obiad.

Niestrudzona inicjatywa tego — jak się sam określił — „zatrudnionego mnóstwem przedsięwzięć wieśniaka” — ma tu znaczenie zasadnicze. Książka Zienkowskiej nosi podtytuł *Z dziejów szlachty polskiej XVIII w.* — i nosi go słusznie. Jest to bowiem biografia pretekstowa; to co autorkę interesuje przede wszystkim to problemy ruchliwości społecznej: „one to właśnie uzasadniają podjęcie badań nad ... kasztelanem łukowskim” (s. 8, 130). Jezierski służy za test sprawdzający postawy, dążenia i zakres możliwości jego klasy. Wiadomo, że gdzie go wpuścić, tam wyżyłuje koniunkturę dla zarobienia majątku i pozycji, ale także dla lansowania swojej wizji hierarchii społecznej. Jest pod tym względem ciekawszy od Kołodziejczykowego Steinkellera, gdyż tamtego aspiracje ograniczały się do sfery gospodarczej, Jezierski zaś działa na polu ekonomicznym, politycznym i ideologicznym. Opowieść o jego awansie staje się siłą rzeczy monografią koniunktur, jakie stały przed polską szlachtą, koniunktur, których kierunek i wymiar były zależne od przemian w strukturze społecznej, ale również od uelastycznienia mentalności szlacheckiej — od tego, czy stanie się ona zdolna do tolerowania (lub nawet cenienia) odchyłeń od obowiązującego systemu norm, wzorów i wartości. Jezierski, mając umysł doskonale elastyczny, pragmatyzował szlachecką mitologię i socjologię, oczyszczał ją z rdzy nieużytecznych przesądów, czynił z niej giętki instrument walki klasowej (przeciw oligarchii magnackiej i przeciw mieszczańskiemu konkurentowi) — dlatego był zarazem epigonem i prekursorem. „Prekursorem — jak pisał Berent — wielkich bourgeois w kontuszu karmazyna”.

Zienkowska nie idzie biernie w ślad za *calendarium* życia Jezierskiego: kompozycja tej pracy jest podporządkowana programowi badawczemu, a nie fabularnemu tokowi indywidualnej biografii, który służy tylko za dyrektywę selekcyjną. Autorka przeprowadza swego bohatera-arywistę przez wszystkie kolejno kręgi ludzi i spraw, w których działał; afery finansowe, zarząd dóbr prymasowskich, dzierżawę tabaczną, działalność przemysłową, izbę poselską i senat, boje publicystyczne. Świetna to pozycja obserwacyjna, bo wielki kawał szlacheckiej Polski i jej kutyry przegląda się w tym *curriculum vitae*.

Autorka umiała tę pozycję wykorzystać; umiała pokazać, jak wyglądała ta Polska z perspektywy senatora, który „łyka w niej darł”, ale który także — nie wolny od ambicji pedagogicznych — „zacznie edukować swoje środowisko, rozwinie szeroki program reform ekonomicznych i społecznych, wskaże szlachcie perspektywy i korzyści przechwycenia w swoje ręce nowego, rodzącego się przywileju” (s. 134).

Pisana jest ta książka — jak na badacza czasów stanisławowskich przystało — stylem „żwawym” i klarownym; słowo dobrze osadzone w zdaniu, zdanie w kontekście, kontekst w całości, poszczególne zagadnienia celnie spointowane. W sumie można tu widzieć wcale udatną propozycję zajmowania się życiorysami ludzi średnich, nie dlatego, że już wielkich nie starcza, lecz dlatego, że ci o piersiach nie wedle miary Fidiasza skrojonych, wnosząc mniej pierwiastków twórczych do historii, wysuwają się tylko trochę do przodu, ale nie przestają wyrażać aspiracji życiowych, wyobrażeń i moralności swojego środowiska.

*

Nie chciałbym, by ten wywód został zrozumiany jako chęć zdeprecjonowania biografistyki klasycznej, to jest badań, których przedmiotem głównym jest rozwój osobowości i twórczości (obojętne: artystycznej, ideologicznej, wychowawczej) wybranego *individuum*. Byłbym jak najdalszy od takiego stawiania sprawy. Ostat-

nio w przeświadczeniu o niewygasłych perspektywach takiej orientacji badawczej upewnił mnie sukces pisarski Marii Janion, która z analitycznym mistrzostwem pokazała w swym *Zygmuncie Krasińskim* jednostkowy proces intelektualnej transpozycji ogromnego dziedzictwa kulturalnego i uformowała z tego materiału lekturę również dla historyka fascynującą.

Zamiarem moim było więc tylko wskazanie drugiej jeszcze szansy biografistyki: tego mianowicie, że forma ta może stać się (a w niektórych próbach już się stawać zaczyna) pomostem do socjologicznej penetracji środowiskowych subkultur. Rzecz wydaje się istotna dla naszej literatury naukowej, niezmiernie dotychczas ubogiej w monografie klas i warstw społecznych w takim stylu, jak np. *Les intellectuels au Moyen Age* Jacques Le Goffa.

Inna sprawa, że wskazując na tę rolę „pomostu” i dostrzegając — na przykładzie prac A. Kerstena czy K. Zienkowskiej — cząstkowe w tym zakresie osiągnięcia, nie sądzę, by forma biografii indywidualnej była w ogóle najbardziej wydajną dla osiągnięcia tego akurat celu metodą. Nie sądzę zaś tak dlatego, że — nawet przy najbardziej fortunnym wyborze bohatera — indywidualne i niepowtarzalne koleje jego przygód, specyficzność jego zainteresowań i psychiki zmuszają autora do dość przypadkowej selekcji materiału; selekcja taka musi deformować proporcje w obrazie środowiska.

I dlatego na zakończenie tych uwag chciałbym zwrócić uwagę na inny, pokrewny gatunek pisarstwa historycznego, który tę wadę subiektywizacji, jeśli nie eliminuje, to w każdym razie poważnie zmniejsza. Mam na myśli portret zbiorowy określonego środowiska, spojonego więzią ideową i psychiczną. W ostatnich latach widzę u nas dwa poważne osiągnięcia w tym rodzaju — przynajmniej z zakresu nowożytnej historii Polski: *Jakobini polscy* Bogusława Leśnodorskiego i *Rówieśnicy Mickiewicza* Aliny Witkowskiej. O pierwszej z tych książek pisano niemało. O drugiej warto tu dorzucić parę słów.

Książka ta — jak i wspomniana monografia Janionówny — wyszła z tego kręgu warszawskiej polonistyki, który — koncentrując się wokół pracowni romantyzmu w Instytucie Badań Literackich — zajmuje dziś godne uwagi miejsce w obrazie polskiej humanistyki i którego prace budzą też coraz żywsze zainteresowanie w środowisku historycznym. *Rówieśnicy Mickiewicza* to — jak zapowiada podtytuł — „życiorys jednego pokolenia”. Pokolenie to zostało wyznaczone granicami przestrzennymi (Wilno i okolice), czasowymi („pokolenie przełomu wieków” — „między Oświeceniem i Romantyzmem”) i społecznymi („średnio- i drobno-szlacheckie pochodzenie klasowe”). Tak wyznaczonej generacji przypisuje Witkowska szeroki zakres duchowej wspólnoty, wytworzony przeżyciem tych samych wydarzeń historycznych, podobieństwem wychowania i tradycji domowo-rodziny, przerobieniem tego samego minimum szkolnego, przeczytaniem tych samych książek (s. 37—69). Okaze się zresztą w toku lektury, że owo podłoże wspólnoty zostało zrazu zakreślone zbyt szeroko: ostatecznie „pokolenie” zredukuję się do grona młodzieży filomackiej, która istotnie wytworzyła własny styl intelektualny i obyczajowy, ale już nie wskutek jednoznacznego zdeterminowania psychicznych reakcji osobniczych przez sytuację społeczną i typ wychowania, lecz w wyniku wzajemnych osobistych oddziaływań w ramach małej grupy. Dlatego życiorys pokolenia trwa w opowieści Witkowskiej nie tak długo, jak trwa pokolenie samo, lecz tak długo tylko, jak trwa grupa i jej wspólnota. Reszta — to już tylko „epitafium dla pokolenia”: „strzępy biografii poszczególnych ludzi, beznadziejnie i szaro, czasami boleśnie dożywających kresu swoich dni” (s. 277).

Tak więc mimo odmiennego punktu wyjścia i odmiennej metody pisarskiej konstrukcja Witkowskiej jest porównywalna z *Jakobinami polskimi*, gdzie również rozpad grupy i jej ideowej więzi staje się dla autora sygnałem, że czas zakończyć książkę.

Czy zatem w ogóle ten rodzaj portretu zbiorowego, którego przedmiot bywa o tyle mniej rozciągliwy w czasie, może być sklasyfikowany w pobliżu biografistyki, w klasycznym rozumieniu tego gatunku? Sądzę, że tak — bowiem na równi z nią służy penetracji świadomości aktorów historycznego procesu. Ma on natomiast tę przewagę nad życiorysem jednostkowym, że odsiewając czysto indywidualne cechy ludzkie i przypadkowe przygody, pozwala łatwiej odtworzyć właściwy danej epoce i poszczególnym środowiskom typ myślenia, społeczne wzory postępowania, sposób przeżywania historii i wpływania na jej bieg.

Biografistyka jest w naszej nauce nadal gatunkiem żywym i wartym pielęgnowania. Ale żywotność każdej formy mierzy się nie tylko jej zdolnością do trwania: także jej zdolnością do transformacji i służenia nowym potrzebom.